

Konsolidacja Niderlandów

19 września 2012

W ubiegłą środę holenderscy wyborcy znów sprawili niespodziankę politologom i wróżkom: scena polityczna Niderlandów uległa konsolidacji, a nie rozproszeniu. Krótka analiza wyników.

Holendrzy posiadli ciekawą cechę: swoimi wyborami i preferencjami politycznymi potrafią zawsze zaskoczyć wszystkich, nawet samych siebie. Większość poważnych obserwatorów sądziła, że wybory z 12 września poszatkują politycznie Holandię jeszcze bardziej. Tymczasem ich wynikiem jest bardziej skonsolidowana dotychczasowa koalicja premiera Marka Rutte, który w ten sposób ma na pewno w kieszeni następną kadencję na swym fotelu. Każda z dwóch partii w jego koalicji – liberalna VVD (Volkspartij voor Vrijheid en Democratie, Ludowa Partia Wolności i Demokracji) oraz Partia Pracy (Partij van de Arbeid, PvdA) – dostała po więcej niż 25% głosów i odpowiednio uzyskały one 41 i 39 mandatów w 150-osobowym parlamencie. W poprzedniej kadencji partie te miały odpowiednio 31 i 30 mandatów.

Prawie wszystkie inne partie i partyjki mocno oberwały po kulach. Zawsze silna i pewna siebie, antymuzułmańska, antyimigrancka i rasistowska partia Wolności (Partij voor de Vrijheid, PVV) Geerta Wildersa, która dotąd miała 24 mandaty i nawet nieźle rokowała w sondażach na krótko przed wyborami, w rzeczywistości zdobyła ich teraz tylko 15. Bardzo rozczarowany jest też Sybrand van Haersma Buma, lider chadecji (Christen Democratisch Appel, CDA), która skurczyła się z 21 mandatów do zaledwie 13. Rozczarowanie jest bodaj jeszcze większe w bardzo lewicowej partii socjalistycznej (Socialistische Partij, SP), która wprawdzie zachowała swoje dotychczasowe 15 mandatów, ale jeszcze miesiąc wcześniej biła w sondażach wszystkich na głowę i była niemal pewna wyborczego zwycięstwa. Wyborcy utarli nosa Emile Roemerowi, wodzowi SP. Socjal-liberalna D66 Alexandra

Pechtolda spadła wprowadzić tylko z 12 mandatów na 10, ale prawie wszystkie sondaże też dawały jej więcej. Sromotną klęskę poniosła w wyborach Zielona Lewica pani Jolandy Sap (Groen Links, GL): z dziesięciu poprzednich mandatów zostały im symboliczne trzy. Ogółem do parlamentu weszło dziewięć ugrupowań. W Holandii wybiera się według ordynacji proporcjonalnej (nie jednomandatowej).

Żadna z mniejszych partii nie ma więc więcej niż 10% mandatów i żadna nie będzie miała nic do gadania w holenderskiej polityce przez najbliższe lata. Opozycja jest zresztą poróżniona i w rozsypce. Stabilna rządząca koalicja będzie miała wygodne życie, a Holandia – długi polityczny spokój. Zarówno Mark Rutte jak i Diederick Samsom, nowy lider Partii Pracy dobrze się dogadują w najważniejszych sprawach politycznych. Obaj są fundamentalnie proeuropejscy, aczkolwiek różnią się co do koncepcji przezwyciężenia kryzysu euro (No, ale skoro w tej sprawie nawet Niemcy potrafią zmieniać zdanie). Obaj obiecują usilnie współpracować w tym zakresie z innymi rządami UE. „Pojechali teraz opijać swój triumf do Brukseli” – warknął o nich kąśliwie Geert Wilders w noc powyborczą, kiedy ogłoszono tak niemiłe dla niego wyniki.

Geert Wilders jest z pewnością największym przegranym tych wyborów. Holendrzy którzy przez kilka ostatnich wyborów kapryśnie skakali po populistycznych ekstremach, już to głosując na PVV, już to na SP, z dnia na dzień dokonali cięć po skrzydłach, wybrali bezpieczną stabilność i powrócili en masse do obu głównych partii. Gdyby pod skróty VVD i PvdA podstawić PO i PSL, a zamiast PVV wstawić PIS, to mielibyśmy – toutes les proportions gardees – atmosferę po ostatnich wyborach w Polsce, o ile ktoś jeszcze to pamięta.

Taktyczne głosowanie – to tylko mała część wyjaśnienia dlaczego tak się stało. Wydaje się również, że wyborcy holenderscy byli już zmęczeni nieustanną agresywnością Wildersa (co nieodparcie też nasuwa mi polskie skojarzenia). Nastraszeni zbliżającym się, a raczej pogłębiającym się

kryzysem postawili na – jak się pewno wszystkim wydaje – poważniejsze i bardziej realistyczne, choć mniej radykalne rozwiązania. Nawet jednak jeśli polityczny czas Wildersa w ten sposób już bezpowrotnie minął, to trzeba przyznać, że pozostawił on trwałą ślad na holenderskiej polityce oraz w sposobie myślenia jego rodaków. Będzie on zapewne dawał o sobie znać ilekroć pojawi się jakiś incydent z imigrantami lub napięcie w stosunkach z islamem. Ale polityczna klęska PVV jest wielce symptomatyczna.

Na razie w zwycięskiej koalicji trwa euforyczny miesiąc miodowy, ale jakieś kwasy mogą wkrótce między partnerami wypłynąć. Przez ostatnie trzy tygodnie kampanii przedwyborczej obaj koalicyjni liderzy zachowywali się przecież jak rywale. Rutte obstawał przy kontynuacji dotychczasowej postawy, ale Samsom obiecywał raczej prosocjalny kurs na zmianę, tak aby ciężary ewentualnych cięć i reform rozłożyć przy mniejszym obciążeniu dla biedniejszych. Wzmocniona koalicja liberałów i Partii Pracy może w Holandii przywołać na myśl czasy „purpurowych gabinetów”, które rządziły tam w pomyślnych latach 1990., ale nie wydaje się, żeby Niderlandy miały powrócić do sielskiej atmosfery tamtych czasów. Głosowanie sprzed tygodnia jest zgodnie i słusznie oceniane przez wszystkich obserwatorów jako potwierdzenie proeuropejskiej postawy holenderskich wyborców, szczególnie w świetle zażartej dyskusji na temat ratowania euro, jaka dominowała w kampanii wyborczej. Ale w bardzo trudnych negocjacjach i decyzjach, jakie już wkrótce czekają Unię na ten temat, przywódcy Niderlandów z pewnością pozostaną jednymi z trudniejszych do przekonania co do konieczności dalszych poświęceń. I na pewno bardzo ostrożnie na szalkach swej po kupiecku wyskalowanej wagi kłaść będą pieniądze przeciw suwerenności.

Autor: Bogusław Jeznach

Źródło: [Nowy Ekran](#)